

Maciej Wąs: Obalić monopol, by ocalić wolność, czyli ABC Chestertonowskiej krytyki ustroju kapitalistycznego

W ogólnej gorączce walki o przebicie się do powszechniejszej świadomości z faktem, że Chesterton był wrogiem kapitalizmu, często się o tym zapomina, że Gilbert naprawdę, z wychowania i przekonania, kochał wolny handel – pisze Maciej Wąs w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Kapitalizm – w centrum uwagi”.

Kwestia kapitalizmu staje się dla wielu zaczynających swoją przygodę z Gilbertem Chestertonem swoistym „kamieniem obrazy”. Może i coś mądrego powiedział, ale przecież atakuje kapitalizm. Znaczy się, że socjalista. Socjalistów nie czytamy. Pomijając już kwestię historiozoficzną, to znaczy: czy naprawdę da się zredukować historycznie rozwój systemu gospodarczego świata do prostej opozycji binarnej, albo różnorakie przypadłości własne prawicy polskiej, z której tacy czytelnicy zazwyczaj się rekrutują, pierwszą rzeczą, jaką powinniśmy się zainteresować, to to, czy aby mówiąc „kapitalizm”, mamy na myśli tę samą rzecz. Otóż, dla znacznej większości polskich odbiorców, „kapitalizm” znaczy po prostu „liberalizm”, czy wolny handel. I tu jest ów pierwszy punkt, w którym musimy się zatrzymać. Dla Chestertona bowiem „kapitalizm” nie znaczy „wolny handel”; ani liberalizm. Tylko coś, co nazwać możemy „ustrojem własności skoncentrowanej” (sam używał tutaj obrazu literackiego „własności usypanej w stosy”). Dla wielu definicja ta nie jest poprawna. Nigdy zresztą nie była. Dlatego, gdy przychodziło do kwestii

terminologicznych, Chesterton jak rzadko kiedy się asekurował, oddając się swoistym „zabawom nominalistycznym”, zdolnym zmęczyć nawet największego wielbiciela. A jednak, wbrew temu, co sam utrzymywał, nie jest to tylko spór o słowa. Mówiąc „kapitalizm” bowiem, mamy na myśli nie tylko jakąś definicję, ale i pewną rzecz, pewne coś, na które to słowo wskazuje, a tym „czymś” jest po prostu konkretny stan gospodarczy, jaki rozwijał się w Europie, a zwłaszcza w Anglii, w wieku XIX i istniał na początku wieku XX. Jest to punkt wyjścia i dojścia, a cała reszta polega po prostu na znalezieniu adekwatnego opisu. Chesterton żył w tamtych czasach i opisywał go właśnie tak; uznając, że najbardziej charakterystycznym elementem tego systemu, jego „różnicą formalną”, jak moglibyśmy rzec, jest nie wolność wymiany, nie swoboda zawierania umów, nie brak interwencjonizmu państwowego, ale przede wszystkim zjawisko nieustannego rozrostu wielkich podmiotów gospodarczych, skutkujące wchłanianiem przez nie podmiotów mniejszych i powstawaniem kombinatów, trustów i monopolii. Można się z nim nie zgadzać, zapewne, niemniej przede wszystkim należy zrozumieć to, co miał do powiedzenia.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.
Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Zagrożenia, jakie wynikały według Gilberta z tego stanu rzeczy, były bardzo różne. Na nasz użytek, wymienimy trzy (ufam, że fundamentalne). Po pierwsze zatem, zjawisko koncentracji własności, czy kapitału, w rękach gospodarczych gigantów, w logiczny sposób skutkuje tym, że inni go nie mają; to znaczy: że większość społeczna spada z poziomu autentycznych wytwórców czy producentów do poziomu robotników, pracowników najemnych, czy „praco-biorców”, z

istoty rzeczy zależnych od „praco-dawców”. To zaś skutkuje zniszczeniem wolności osobistej i to w dwojakim sensie; po pierwsze w sensie faktycznym, bo człowiekiem całkowicie zależnym od innych w sensie ekonomicznym można łatwo manipulować, choćby za pomocą pospolitego szantażu: straszenia zwolnieniem, które w warunkach skrajnych oznacza po prostu głód. Chesterton widywał zresztą takie wypadki na własne oczy (zazwyczaj chodziło o to, by robotnicy nie oddawali swych cennych głosów wyborczych na „nie tych, co trzeba”). Po drugie: w sensie psychologicznym. Bo człowiek nieposiadający żadnej niemal własności osobistej (a naprawdę w Wielkiej Brytanii początku XX wieku tak to w wypadku robotników wyglądało), ziemi, domu, narzędzi pracy – czegokolwiek, co i przy pomocy czego mógłby autentycznie tworzyć, staje się po prostu naraz niezdolny i niechętny do decydowania o sobie. Staje się bierny – i zdaje się na innych. Obserwacja ta zgadza się zresztą z tym, co mówią na temat psychiki człowieka ci, którzy pracują z ludźmi. Saul Alinsky, w swoich „Rules for Radicals”, zwracał na przykład uwagę dokładnie na to samo: aby człowieka „zaktywizować”, obudzić, popchnąć do działania, najpierw trzeba dać mu narzędzia i możliwości. Inaczej nie znajdzie w sobie dość motywacji, aby poczynić pierwszy krok. Tutaj mamy zatem z kapitalizmem problem numer jeden: że (w/w) człowieka po prostu niszczy. Że skazuje go na bytowanie nie-wolne, a więc i w pewnym sensie nie-ludzkie.

Problem drugi, który zresztą ściśle łączy się z pierwszym, stanowi fakt, że kapitalizm niszczy możliwość ustanowienia rządu prawdziwie demokratycznego. Demokracja bowiem, jak ją rozumiał Gilbert za Janem Jakubem Rousseau i całą wielką tradycją liberalną wieku XVIII, nie polega tylko na „mechanicznym” (jest to zresztą jego ulubiona w tym kontekście metafora: „maszyna wyborcza”) oddawaniu głosów, ale przede wszystkim na aktywnej partycypacji całego społeczeństwa w

*Zjawisko koncentracji
własności, czy kapitału, w
rękach gospodarczych
gigantów, w logiczny sposób
skutkuje tym, że inni go nie
mają; to znaczy: że większość
społeczna spada z poziomu
autentycznych wytwórców czy
producentów do poziomu
robotników*

rządzeniu, przede
wszystkim w
stanowieniu prawa;
czyli, innymi słowy,
tzw. „woli
powszechnej”. Ale
aby mieć
uczestnictwo w woli
powszechnej (która
nie jest,
przypomnijmy, jedna
w sensie ontycznym,
ale jedna jednością
celu), trzeba
najpierw mieć wolę –

nie tylko w sensie rzeczowym, ale i, że tak powiem, faktycznym; trzeba interesować się własnym krajem i własnym życiem, trzeba chcieć, trzeba próbować przynajmniej wywierać na swój świat i otoczenie jak największy wpływ. Jak widzieliśmy: tej zdolności właśnie, odbierając mu własność, kapitalizm człowieka pozbawia. Dlatego też jest ustrojem politycznie szkodliwym, skazującym naród na oligarchizację, która zawsze skutkuje, znów: przynajmniej zdaniem Chestertona, zainfekowaniem ciała społecznego korupcją i prywatą.

No i, po trzecie: ponieważ wydając gospodarkę na łup kilku wielkich konsorcjów, podporządkowuje ją także jej doraźnym interesom, zapominając zupełnie o perspektywie skutków długofalowych. Mając nad organizmem gospodarczym władzę absolutną, molochy finansowe zmieniają całą jego strukturę tak, aby jak najlepiej służyła ich doraźnym zyskom. Skutkuje to często katastrofalnymi błędami, których nie da się właściwie później naprawić. „Ulubionym” (o ile tak można

powiedzieć) przykładem takiej sytuacji był dla Chestertona powolny zanik rolnictwa angielskiego, które zaczęto likwidować, bo się „nie opłacało” (tańsze zboże lepszej jakości dało się sprowadzać z Kanady). Angielscy „lordowie wymiany” zatem, po prostu „puścili je wolno”: dali mu umrzeć, czasami dyskretnie wspomagając proces i pozwalając na całkowite niemal uprzemysłowienie kraju (zjawisko, które znalazło swój „manifest” w haśle: „Anglia warsztatem całego świata”). Pomijając już wszystkie inne skutki społeczne, jakie ten fakt wywołał, Chesterton zwracał uwagę szczególnie na jedną rzecz: że taka sytuacja stanowi koniec ekonomicznej samowystarczalności kraju. Bez niemal wszystkiego można się obejść – ale nie bez żywności. Kraj może nie mieć samochodów, radioodbiorników, nawet cegieł i cementu – ale jeśli jego społeczeństwo ma przeżyć, musi mieć co jeść. Póki można żywność sprowadzać z zagranicy, wszystko jest dobrze. Ale co, jeśli wydarzy się coś takiego, co zablokuje handel zamorski na dłuższy czas? Wielka wojna, na przykład, katastrofy naturalne, kryzys?

*Mając nad organizmem
gospodarczym władzę
absolutną, molochoy finansowe
zmieniają całą jego strukturę
tak, aby jak najlepiej służyła
ich doraźnym zyskom.*

Co ciekawe, te nonsensowne pytania zawodowego „nonsensity”, którego w pewnym momencie chyba nikt nie brał poważnie, dość szybko okazały się

całkiem uzasadnione. Dość powiedzieć, że po dwóch wojnach światowych rządy angielskie inwestowały sporo, naprawdę sporo pieniędzy w odbudowę krajowej wsi.

Jaka jest recepta na te wszystkie bolączki? Prosta – przynajmniej prosto ją sformułować. Skoro wszystkie one biorą się z koncentracji kapitału, lekarstwem na nie będzie tylko dekoncentracja kapitału. Program takiej dekoncentracji, tzn. swoistego „przekierowania” własności prywatnej z powrotem do ogółu, tak aby gospodarka kraju stała się przede wszystkim gospodarką małych podmiotów rodzinnych: gospodarstw, warsztatów pracy itd., nazywamy dystrybucjonizmem. Tutaj zaczyna się inna historia.

Na tym właściwie można by zakończyć, niemniej skoro już dotarliśmy aż tutaj, to zrobimy „po czwarte”; miały być trzy punkty, wiem, ale dobrze to idzie. Szczególnie że ten punkt jest arcyciekawy. Bo po czwarte: według Chestertona kapitalizm ma ten jeszcze jeden katastrofalny skutek, że niszczy wolny handel. Polskiemu czytelnikowi, jak wspomnieliśmy, może się to wydać paradoksalne, niemniej Gilbert opierał swój sąd na naprawdę solidnych podstawach. „Wolny handel” to bowiem nic innego, jak doktryna, wedle której kształtowanie cen powinno zależeć wyłącznie od swobodnej umowy między handlującymi. Gdy jednak tworzą się monopole, wielkie kombinaty, instytucje, którym nie są w stanie przeciwstawić się nawet rządy, a co dopiero jednostki, o jakiej „swobodzie” może być tutaj mowa? Warto o tym wspomnieć, bo w ogólnej gorączce walki o przebicie się do powszechniejszej świadomości z faktem, że Chesterton był wrogiem kapitalizmu, często się o tym zapomina (i sam nie pozostaję tutaj bez pewnej winy), że Gilbert naprawdę, z wychowania i przekonania, kochał wolny handel. Ja handlowcem nie jestem (tzw. „przedkapitalistyczna kultura daru”, oczywiście), więc tego nie rozumiem, ale aż zadziwiające, z jaką emocją i zaangażowaniem pisał o „euforycznym poczuciu wolności i nieskrępowanej inicjatywy”, jakie odzyskał dla niego skrajny leseferyzm prowincji w Oklahomie (warto zajrzeć do „Co widziałem w

Ameryce”). Jak wskazują na to jego późne artykuły (na przykład „The Claptrap of Free Trade” z 1935), wiary w wolną wymianę zachował do końca życia, nawet gdy znaczna część dystrybucjonistów zaczęła skłaniać się ku protekcjonizmowi. Ale chodziło mu głównie o wolną wymianę między ludźmi: tu i teraz, w rodzinie, we wspólnocie sąsiedzkiej, w małej gminie, „między mną a tobą”. Nietrudno zorientować się, że w warunkach monopolu, a nawet po prostu nadmiernej koncentracji kapitału, zamieniającej „sprzedawcę” w wielkiego molocha zajmującego powierzchnię dawnej średniej osady, nie ma miejsca na żadne „ty”; ani, skoro już o tym mowa, na żadne „ja” (bo tak to się już kształtuje). Nie ma tego specyficznego interpersonalnego kontekstu, który nadaje wolnemu handlowi jego właściwą naturę. Jest za to, no cóż: „coś”. Surogat, czy zwykła fałszywka. Być może zresztą to właśnie stanowiło jedną z głównych przyczyn, dla których ataki Chestertona na ustrój kapitalistyczny były niemal zawsze tak dziwnie, jak na niego, gwałtowne: fakt, że ustrój ten nominalnie opierał się na zasadach, które on uważał za słuszne.

To właśnie stanowiło jedną z głównych przyczyn, dla których ataki Chestertona na ustrój kapitalistyczny były niemal zawsze tak dziwnie, jak na niego, gwałtowne: fakt, że ustrój ten nominalnie opierał się na zasadach, które on uważał za słuszne.

Ten ostatni punkt jest ważny szczególnie ze względu na to, że pozwala lepiej przyjrzeć się kontrowersyjnej kwestii związków (bądź braku związków) dystrybucjonizmu z tzw. ordoliberalizmem

niemieckim. Istotnie, spotyka się takie porównania. Wydaje się jednak, że to pewne uproszczenie. Niektóre punkty rzeczywiście są podobne, niemniej żadna forma myśli kapitalistycznej nie uwzględnia tego właśnie międzyosobowego, humanistycznego kontekstu, w którym idea wolności gospodarczej pierwotnie była osadzona. Bo istotnie – pierwotnie tak właśnie było, przynajmniej w niektórych wypadkach. I to właśnie wierność owym „niektórym wypadkom” nadaje myśli Chestertona jej właściwą specyfikę. Angielscy „radykałowie”, od Paine’a i Spence’a (socjalisty!) po Cobbetta opowiadali się za bezwzględnym uwolnieniem wymiany handlowej. Chesterton zaś (a jest to mój motyw ulubiony, bo wstydliwie przemilczany przez sporą część krytyków – jakby było się czego wstydzić), po prostu podejmował angielską tradycję radykalną, co zresztą przyznawał zupełnie otwarcie. Oczywiście, można mieć tutaj liczne zastrzeżenia. Przekonanie, że wolny handel zniszczy monopole, zostało doświadczalnie sfalsyfikowane pod koniec wieku XIX. Nie da się zatem zachować go w takiej formie, w jakiej funkcjonowało w tamtym słonecznym czasie demokratycznej rewolucji. A jednak można przecież zupełnie zasadnie pytać, co dokładnie sprawiło, że monopole i oligarchizacja powróciły, wbrew przewidywaniom najrozsądniejszych ludzi epoki? I czy naprawdę nie mamy szansy jeszcze odzyskać tamtego podejścia? Chesterton, w każdym razie, nigdy nie przestał o to pytać i przynajmniej próbował udzielić kilku interesujących odpowiedzi. Dlatego też czytanie jego dzieł społecznych i ekonomicznych pozostanie zawsze, a przynajmniej jeszcze bardzo długo, aktualne. Jest wiele zastrzeżeń, które można obecnie poczynić wobec myśli dystrybucjonistycznej; od początku wieku XX wiele się zmieniło. Inna jest natura finansów, inna struktura własności, powstały inne profesje, sam sposób myślenia o gospodarce uległ sporej przemianie, a komputeryzacja wywróciła zasadnicze stosunki społeczne do góry nogami. Jak można podejrzewać, wbrew pozorom nie wszystko, co Gilbert napisał, stanowi mądrość objawioną. Można jednak

przypuszczać, że czytanie kogoś, kto patrzył na pewne rzeczy z zupełnie innej, niż my perspektywy, zawsze będzie owocna, co już sam fakt przeciwstawienia sobie liberalizmu i kapitalizmu, któremu się tutaj pokrótce przyjrzeliśmy, udowadnia chyba aż nadto dobitnie.

Maciej Wąs